

Już kwadrans później znajdowaliśmy się w drodze. Jeńcy przywiązani do koni jechali oczywiście w środku. Bob, nie chcąc widocznie złożyć urzędu konstabla, nie odstępował ich i trzymał pod najsurowszym dozorem. Sans-ear dowodził tylną strażą, ja zaś z Marshalllem prowadziłem pochód.

Oczywiście przedmiotem rozmowy był wczorajszy wypadek. Ja jednak nie miałem ochoty zbytnio się nad nim rozwodzić. W końcu Marshall przerwał rozmowę o agentach i rzekł:

- Czy to prawda, co twierdził Sans-ear, że wywołałeś deszcz?
- Tak.
- To dla mnie niepojęte, chociaż wiem, że nigdy nie mówisz nieprawdy.
- Spowodowałem deszcz, żeby ocalić siebie i was.

I objaśniłem mu to proste postępowanie, za pomocą którego czarownicy i szamani niektórych pierwotnych ludów zdobywają u swych współplemieńców nadzwyczajny szacunek.

- Wobec tego wszyscy zawdzięczamy ci życie. Bylibyśmy zginęli z pragnienia tam, gdzie nas spotkałeś.
- Nie zginęlibyście z pragnienia, lecz z rąk morderców. Przypatrz się tylko derkom tych tak zwanych agentów, pod nimi znajdują się jeszcze pełne sakwy z wodą. Oni nie cierpieli najmniejszego pragnienia. Byłbym ich bezwarunkowo wystrzelał, gdybym nie czuł wstrętu do przelewu ludzkiej krwi. Jak się nazywa najmłodszy z nich, który wczoraj stał na straży razem z Williamsem?

- Meercraft.
- Zapewne także przybrane nazwisko. Ten łotr wydaje mi się, pomimo swego młodego wieku, najbardziej podejrzany. Odnoszę nawet wrażenie, że podobną twarz już kiedyś widziałem w niezbyt miłych okolicznościach. Biada im, jeśli w oznaczonym czasie nie dostaniemy się nad rzekę! Teraz podaj mi bliższe szczegóły zamordowania i ograbienia waszego ojca!

- Nie ma żadnych bliższych szczegółów. Allan udał się do San Francisco po zakup złota, a my zostaliśmy we czwórkę z Bobem i gospodynią, ponieważ robotnicy i czeladnicy mieszkali osobno. Ojciec wychodził codziennie wieczorem na przechadzkę, jak o tym wiesz, aż pewnego pięknego poranka znaleźliśmy jego trupa w zamkniętej sieni, pracownia zaś i sklep były otwarte, a wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, zniknęło. Ojciec nosił przy sobie zawsze klucz, którym otwierało się wszystkie drzwi.

- Nie nasunęło się wam żadne podejrzenie?
- Tylko jeden z czeladników mógł coś wiedzieć o kluczu, wszelkie jednak policyjne śledztwa nie przyniosły żadnego wyniku. Czeladników musieliśmy oddalić i zniknęli gdzieś bez śladu. Pomiędzy zrabowanymi klejnotami znajdowały się znaczne depozyty, za które musiałem zapłacić. Pozostała kwota wystarczyła mi zaledwie na podróż do Kalifornii w celu odszukania brata, o którym nagle ucichły wszelkie wieści.

- I nie masz żadnej nadziei, że pochwycisz kiedyś złodzieja i odbierzesz choćby część swojej własności?
- Żadnej nadziei! Sprawcy razem ze swą zdobyczą są już pewnie dawno poza granicami kraju, a chociaż umieściłem ogłoszenie o tym strasznym wypadku we wszystkich większych gazetach Europy i Ameryki i dodałem dokładny opis zrabowanych przedmiotów, na nic mi się to nie przyda, gdyż wytrawny złoczyńca znajdzie dość środków i dróg do zabezpieczenia się przed pościgiem.

- Chciałbym przeczytać to ogłoszenie!
- Możesz! Noszę przy sobie numer „Morning Herald”, aby na wszelki wypadek mieć to ogłoszenie pod ręką.

Wydobył z kieszeni gazetę i mi ją podał. Jadąc dalej, przeczytałem opis i wpadłem znowu w podziw nad jednym z tych zrządeń losu, który nazywamy często przypadkiem. Skończywszy czytać, złożyłem papier i oddałem Marshallowi, mówiąc:

- A co by było, gdybym ci wymienił sprawcę, a przynajmniej jednego ze sprawców?
- Ty, Charley? - zapytał pośpiesznie.
- I dopomógł ci odzyskać przynajmniej części straty?
- Żarty na bok, Charley! Wówczas kiedy popełniono ten czyn, znajdowałeś się na prerii. Jakże potrafiłbyś dokonać tego, co nie udało się ludziom najbardziej tym dotkniętym?

- Bernardzie, popatrz na to.
Wydobyłem i podałem mu sakiewkę. On wziął ją z gorączkowym podnieceniem, a gdy otwierał, ręce mu drżały. Zaledwie rzucił okiem na zawartość sakiewki, wydał okrzyk radosnego zdumienia:

- Boże, nasze diamenty! Tak, to one, to naprawdę te same! W jaki sposób...
- Spokojnie! - przerwałem mu. - Pohamuj się, młodzieńcze! Ci z tyłu nie potrzebują słyszeć dokładnie, o czym mówimy. Jeśli to wasze kamienie, to zatrzymaj je sobie, żebyś zaś mnie przypadkiem nie wziął za opryszka, to ci opowiem, w jaki sposób się u mnie znalazły.
- Charley, co ci na myśl przychodzi? Jak możesz sądzić, żebym ja...
- Sza! Krzyczysz, jak gdybyś chciał, żeby usłyszano naszą rozmowę aż w Australii!

Niespodziewana radość istotnie pozbawiła pocziwego Bernarda niezbędnego w takich razach spokoju. I ja cieszyłem się z całego serca jego szczęściem, żałując tylko, że razem z drogimi kamieniami niepodobna było zwrócić mu życia ojca.

- Opowiadaj, Charley! - prosił. - Ciekaw jestem, jak moje kamienie dostały się w twoje ręce.
- Sprawcę mordu i rabunku miałem już prawie w ręku. Był tak blisko mnie, że tą oto nogą straciłem go z lokomotywy, na której stałem, a Sam ścigał go, choć bezskutecznie. Lecz spodziewam się, że dostanę tego zbrojnego znowu w ręce, i to wkrótce - po drugiej stronie Pecos. Łotr udał się tam zapewne dla jakiegoś nowego łajdactwa, na którego ślad również wpadniemy.

- Opowiadaj, Charley, opowiadaj!

Opowiedziałem mu o napadzie na pociąg, dokonanym przez Ogellallajów, i przeczytałem potem list Patricka do Freda Morgana. Bernard przysłuchiwał się z największą uwagą, a potem rzekł: Pochwycimy go, Charley, pochwycimy i dowiemy się także, gdzie się podziela reszta klejnotów!

- Nie zaczynaj znowu krzyczeć, Bernardzie! Zostawiliśmy wprawdzie naszych towarzyszy za sobą o kilka długości konia, ale pamiętaj, że tu, na Dzikim Zachodzie, należy się ukrywać z najdrobniejszą nawet rzeczą. Nierozwaga nigdy nie przynosi pożytku.

- Chcesz naprawdę oddać mi te kamienie bez żadnych warunków ani pretensji?

- Oczywiście, przecież są twoje!

- Charley, jesteś... lecz posłuchaj! - rzekł i sięgnąwszy do sakiewki, wyciągnął jeden z większych diamentów. - Zrób mi tę przyjemność i weź to na pamiątkę ode mnie!

- Pshaw! Ani mi się śni, Bernardzie! Zresztą nawet nie masz prawa mi tego podarować, gdyż te kamienie należą nie tylko do ciebie, lecz i do twego brata.

- Allan zgodzi się na to, co ja postanowię!

- Być może, jestem nawet tego pewien; zważ jednak, że te kamienie nie są jeszcze wszystkim, co utraciliście. Zatrzymaj zatem ten kamień, a kiedyś przy rozstaniu dasz mi coś innego, co was nie będzie kosztowało, dla mnie zaś będzie miłą pamiątką. Teraz jedź dalej w tym samym kierunku, a ja zaczekam tu na Sama.

Zostawiłem go sam na sam z jego szczęściem i zatrzymałem się, przepuszczając wszystkich obok siebie, dopóki nie nadjechał Sans-ear.

- Co nadzwyczajnego załatwiałeś tam na przodzie? - zapytał mnie. - Biliście rękami powietrze, jak gdybyście nam chcieli przedstawić balet na koniach.

- Czy wiesz, kto jest mordercą ojca Bernarda?

- No? Nie dowiedziałeś się chyba tego teraz!

- Owszem!

- Chwacko zrobione! Tobie się wszystko udaje. Kto inny latami nieraz dobija się swego celu, a ty ruszysz ręką nawet we śnie i masz to, czego chciałeś. No, któż to? Spodziewam się, że się nie omyliłeś!

- Fred Morgan!

- Fred Morgan? On? Charley, uwierzę we wszystko, ale nie w to. Morgan jest łotrem wśród westmanów, ale na Wschodzie nie buszuje.

- Nie będę się sprzeczał. Ale kamienie odebrane Morganowi były własnością Marshalla i już mu je oddałem.

- Ha, skoro to uczyniłeś, to widocznie jesteś tego całkiem pewny. Musiał się ucieszyć biedny chłopiec! No, to wobec tego jest nowy powód do zamienienia kilku słów z tym Morganem. Obym jak najprędzej mógł naciąć jego karb na mojej kolbie!

- A co zrobimy, gdy się z nim załatwimy?

- Co zrobimy? Hm, ja tylko z jego powodu wybrałem się na Południe i poszedłbym za nim aż do Meksyku, Brazylii i Ziemi Ognistej. Jeśli go jednak tu znajdę, to mi wszystko jedno, dokąd potem powędruję. Może przyjdzie mi chęć wyjechać do starej Kalifornii, gdzie podobno nie brak okazji do wspaniałych przygód.

- W takim razie pojedziemy razem. Pozostaje mi jeszcze kilka miesięcy czasu, a nie chciałbym pocziwego Bernarda puszczać samego w tę daleką i niebezpieczną drogę.

- Well, masz moją rękę! Postaraj się jednak przedtem o to, żebyśmy się wydostali z tego piasku i z tego towarzystwa, które mi się teraz jeszcze mniej podoba niż dzisiaj rano, a szczególnie nie przypada mi do gustu twarz tego młodego. To gęba, że tylko bić, i zdaje mi się, że widziałem ją już raz przy jakiejś paskudnej robocie.

- Tak samo mnie się zdaje. Może sobie nawet przypomnę, gdzie się z nim zetknąłem.

Jechaliśmy bez przeszkód aż do wieczora. Gdy się ściemniło, zatrzymaliśmy się, a zaopatrzwszy konie i zjadłszy po kawałku twardego suszonego mięsa, udaliśmy się na spoczynek. Jeńców skrupowano na noc, a straż pilnowała, żeby się nie uwolnili. Gdy nadszedł ranek, ruszyliśmy znowu naprzód i już około południa znaleźliśmy się na obszarze mniej jałowym. Kaktusy, napotkane po drodze, były soczyste, a tu i ówdzie wystawały już z piasku kępki żółtozielonej trawy, którą konie żarłocznie skubały. Z wolna zaczęły się te kępki łączyć w szersze płaszczyzny, pustynia zmieniła się powoli w prerię, wobec czego musieliśmy posiadać z koni, żeby mogły zaspokoić głód. Rzuciły się też na zieleń z iście wilczym apetytem. Nie mogliśmy im jednak pozwolić na zbyt wiele, więc spętaliśmy je i przywiązaliśmy do palików, żeby pasły się najwyżej na długość łaś. Teraz byliśmy pewni, że znajdziemy niebawem wodę, wobec czego nie oszczędzaliśmy już resztek tej, którą mieliśmy ze sobą.

Gdy się tak cieszyliśmy, że straszna pustynia została już nareszcie za nami, przystąpił do mnie Williams i zapytał:

- Sir, czy teraz wierzycie, że powiedziałem prawdę ?

- Wierzę.

- Więc oddajcie nam broń i konie i puśćcie nas wolno. Nie zrobiliśmy wam nic złego i mamy prawo tego żądać.

- Być może, ale nie mogę sam rozstrzygnąć, muszę się poradzić mych przyjaciół.

Zasiedliśmy więc do narady, którą rozpocząłem z góry obmyślnym wstępem.

- Panowie! Pustynię minęliśmy szczęśliwie, a przed nami leży kraj urodzajny. Powstaje pytanie, czy mamy nadal pozostać razem. Dokąd zamierzacie się udać? - zwróciłem się przede wszystkim do kupców.

- Do Paso del Norte - brzmiała odpowiedź.

- My czterej pojedziemy do Santa Fe, więc nasze drogi się rozchodzą. A teraz drugie pytanie: co zrobić z tymi ludźmi?

Tę ważną sprawę załatwiono po krótkiej naradzie w ten sposób, że postanowiono wypuścić agentów na wolność, i to nawet nie następnego dnia, lecz niezwłocznie. Nie było to sprzeczne z moim planem, przeto jeńcy otrzymali z powrotem swoją własność i wyruszyli w drogę natychmiast. Na pytanie, w którą stronę się zwróca, odpowiedział Williams, że ruszą wzdłuż rzeki Pecos aż do Rio Grande, aby tam zapolować na bizona. W pół godziny po nich odjechali także kupcy i niebawem obie grupy zniknęły na widnokręgu.

Siedzieliśmy jeszcze jakiś czas w milczeniu, aż Sam przerwał ciszę słowami:

- Co myślisz o nich, Charley?

- Myślę, że wcale nie pojedą do Rio Grande, lecz zastąpią nam drogę do Santa Fe.

- Well, ja myślę tak samo. Roztropnie postąpiłeś, mówiąc im, iż właśnie tam się udamy. Teraz pytanie, czy mamy zatrzymać się tutaj jakiś czas, czy też zaraz wyruszyć dalej?

- Ja bym radził zostać. Za tamtymi łotrami pójść nie możemy, gdyż oni tego właśnie się spodziewają i będą dobrze uważali; ponieważ zaś może czekają nas trudy, którym nasze konie na razie nie podołałyby, dobrze będzie, jeśli pozwolimy im do jutra odpocząć i napaść się do woli.

- A jeśli ci ludzie w nocy powrócą i napadną na nas? – zapytał Marshall.

- To zmusiliby nas, żebyśmy wreszcie pogadali z nimi tak, jak na to zasługują. Zresztą ja pojedę na zwiady. Biorę to na siebie, ponieważ mam najsilniejszego konia. Wy zostaniecie oczywiście tutaj aż do mego powrotu, który nastąpi prawdopodobnie dopiero wieczorem.

Dosiadłszy konia, pojechałem śladami agentów. Wiodły one w kierunku południowo-zachodnim, w głąb urodzajnego kraju, gdy tymczasem trop kupców szedł bardziej ku południowi.

Jechałem klusem. Agenci oddalili się wolnym stępem, potem jednak niewątpliwie przyśpieszyli, gdyż upłynęło z pół godziny, zanim ich zobaczyłem. Wiedziałem, że nie mają teleskopu, mogłem więc jechać za nimi swobodnie, nie spuszczając oczu z lunety.

Po upływie pewnego czasu jeden z nich odłączył się ku memu zdumieniu od reszty i zwrócił prosto ku zachodowi, gdzie kępy zarośli wrzynały się w prerię niczym półwyspy, co wskazywało na obecność potoków. Co miałem zrobić i za kim podążyć? Czy za tymi czterema, czy też za tym jednym? Przeczucie mówiło mi, że właśnie ten jeden nosił się z jakimś planem wymierzonym przeciwko nam. Było mi właściwie obojętne, dokąd się udała reszta, ponieważ stale oddalali się od naszego obozu, ale wiadomość o tym, co zamierzał ten jeden, mogła się okazać nader pożyteczna. Ruszyłem więc za nim.

Po trzech kwadransach zniknął mi z oczu w zaroślach. Puściłem mustanga cwałem i zatoczyłem łuk, by się nie zdradzić, gdyby jeździec powracał tą samą drogą. Niedaleko od miejsca, w którym zniknął, i ja także wjechałem w zarośla, posuwałem się pośród nich jeszcze przez jakiś czas, aż dotarłem do małej, otoczonej krzakami polanki porosłej soczystą zielenią. Tutaj, ku mojej wielkiej radości, tryskało źródło czystej wody. Zsiadłem z konia, przywiązałem go tak, by mógł się napaść i napić, potem napiłem się znakomitej wody i poszedłem tam, gdzie spodziewałem się natrafić na trop agenta.

Znalazłem ślad wkrótce, a nawet zauważyłem, ku mojemu zdumieniu, że przejechało tędy kilku jeźdźców i że znajdowała się tu porządna ścieżka, którą widocznie często jeżdżono. Nie wszedłem na nią, gdyż mogła być strzeżona przez człowieka, który poczęstowałby mnie w każdej chwili kulą. Przeciskałem się więc równoległe do ścieżki przez krzaki, dopóki nie zwróciło mojej uwagi głośnie parskanie.

Właśnie miałem zamiar wyjść zza krzaka, aby zobaczyć, gdzie stoi koń, który parskał, kiedy odskoczyłem błyskawicznie: tuż przede mną leżał na ziemi człowiek z głową ukrytą w zaroślach w ten sposób, że sam mógł się przypatrywać ścieżce, gdy tymczasem jego niepodobna było z niej zobaczyć. Była to zapewne straż, z której obecności należało wnosić, że w pobliżu znajduje się większe towarzystwo.

Człowiek ten ani nie spostrzegł mnie, ani nie posłyszał. Cofnąłem się o kilka kroków, żeby go obejść, i udało mi się to tak dalece, że w pięć minut zbadałem cały teren.

Ścieżka biegła ku szerokiej polanie, na której środku rosły gęste zarośla poprzeplatane dzikim chmielem - trudno było przez nie coś dostrzec. Stamtąd doleciało mnie parskanie. Poczłogałem się skrajem polany, aby zobaczyć, czy w zaroślach znajduje się jakaś luka, lecz nie znalazłem żadnej. Niezawodnie zakryto ją sztucznie, gdyż w tej właśnie chwili odezwał się jeden, a potem drugi głos, zdradzając obecność większej liczby ludzi.

Czy miałem się odważyć i podejść ich, czy nie? Było to niebezpieczne, lecz postanowiłem to uczynić. W kilku długich

skokach przedostałem się na drugą stronę polany, w miejscu, w którym strażnik nie mógł mnie spostrzec, bo zarośla znajdowały się pomiędzy nim a mną. Były zresztą tak gęste, że nie udało mi się przebić ich wzrokiem. Tylko w jednym miejscu, tuż przy korzeniach, można się było w nie wsunąć, leżąc na ziemi. Szło to wprawdzie powoli, bardzo powoli, lecz przecież dokonałem tego i zauważyłem, że zwarte od zewnątrz krzewy były od wewnątrz wyrąbane i tworzyły w środku wolne miejsce średnicy mniej więcej trzydziestu łokci. Po jednej stronie tego placu stało osiemnaście koni poprzywiązanych tuż obok siebie. Nieopodal mojej kryjówki siedziało na ziemi siedemnastu mężczyzn obok sterty rozmaitych przedmiotów przykrytych skórą. Odniosłem wrażenie, że widzę jaskinię zbójczą, w której łotry gromadzą wszystko, co zabiorą ofiarom napadów.

Jeden z owych łotrów przemawiał właśnie do zebranych. Był to Williams. A więc to on oddzielił się od reszty agentów! Słyszałem każde jego słowo.

- Jeden z nich pewnie nas podsłuchał, gdyż nagle uderzono mnie pięścią w głowę i runąłem jak kłoda.

- Podsłuchano cię? - zapytał surowo drugi, odziany w dość bogaty meksykański strój. - Jesteś tuman, z którego nie mamy żadnego pożytku. Jak można się nie ustrzec przed podsłuchiowaniem, i to w dodatku na Liano Estacado, na którym nie ma się gdzie ukryć!

- Nie bądź zbyt surowy, kapitanie! - rzekł Williams. - Gdybyś wiedział, kto to był, przyznałbyś, że sam nie czujesz się wobec niego bezpiecznym.

- Ja? Czy mam ci kulą łeb roztrzaskać? A więc nie tylko pozwoliłeś, żeby cię podsłuchano, lecz nawet powalono, powalono gołą pięścią jak dziecko czy tchórza?

Williamsowi żyły nabrzmiały na czole.

- Wiesz, kapitanie, że tchórzem nie jestem. Ten, który mnie pokonał, i ciebie rozciągnąłby jednym uderzeniem.

Kapitan zaśmiał się głośno.

- Opowiadaj dalej!

- I Patrick, który przybrał teraz nazwisko Meercroft, runął pod jego uderzeniem.

- Patrick? Ten z czaszką byka? I kiedy to?

Williams opowiedział wszystko, co się stało, aż do chwili, w której wypuściliśmy ich na wolność.

- Łotrze, zastrzelę cię jak psa! Ten drab wraz z czterema moimi najlepszymi ludźmi dopuścił do tego, że go jakies przybłędy podsłuchały, a potem powaliły i pojmały jak żółtodzioba, który nie odstąpił jeszcze nigdy od matczynego fartuszka!

- Do pioruna, kapitanie, czy wiesz, kim byli ci dwaj ludzie, z których jednego zwano Charleyem, a drugiego z początku Samem Hawerfieldem? Gdyby ci dwaj weszli tutaj teraz tylko ze strzelbami w rękę i z nożami za pasem, nie jeden z was nie wiedziałby, czy ma się bronić, czy poddać. To byli Old Shatterhand i mały Sans-ear.

Dowódca zerwał się z miejsca i zawołał:

- Kłamco! Chcesz tylko tym usprawiedliwić swoje tchórzostwo!

- Kapitanie, przebij mnie nożem, a przekonasz się, że nie drgnie mi nawet powieka!

- Mówisz więc istotnie prawdę?

- Tak.

- Jeśli tak, to w imię wszystkich świętych obaj muszą zginąć, a razem z nimi Murzyn, gdyż na pewno nie spoczną, dopóki nas nie znajdą i nie zniszczą.

- Nic nam nie zrobią, gdyż uradzili jechać natychmiast do Santa Fe.

- Milcz! Jesteś tysiąc razy głupszy od nich, a mimo to sam nie powiedziałbyś im, dokąd jedziesz naprawdę. Znam dobrze obyczaje tych północnych myśliwych. Jeśli zechcą szukać naszych śladów, to znajdą je, choćbyśmy frunęli powietrzem. Nie możemy być nawet pewni, czy któryś z nich nie siedzi tu teraz w krzakach i nie podsłuchuje naszej rozmowy.

Nie mogę powiedzieć, aby te słowa nie wywarły na mnie wrażenia. Kapitan zaś mówił w dalszym ciągu:

- Znam bardzo dobrze ich obyczaje, gdyż przez cały rok przebywałem ze słynnym Florimontem, którego biali nazywali Track Smeller, a Indianie As-ko-lah. U jego boku poznałem wszystkie ich sztuczki. Zapewniam was, że ci ludzie nie udadzą się do Santa Fe ani nie opuszczą dzisiaj swego obozu. Wiedzą, że jeszcze jutro znajdą wasze ślady i że przede wszystkim konie ich muszą wypocząć. Jutro rano wyruszą za nami, wzmocnieni na duchu i na ciele, i chociaż my ich na pewno w końcu położymy trupem, to oni rozciągną przynajmniej połowę z nas na ziemi. Słyszałem, że Old Shatterhand ma strzelbę, z której może strzelać przez cały tydzień, nie nabijając. Diabeł mu ją sporządził, a on zapisał mu za to duszę. Wobec tego musimy na nich napaść jeszcze dzisiaj wieczorem, gdy będą spali pod osłoną tylko jednego wartownika. Jest ich na szczęście tylko czterech. Czy znasz dobrze miejsce ich obozu?

- Tak - odrzekł Williams.

- To bądźcie gotowi. Punktualnie o północy musimy być tam, ale bez koni. Podejmiemy i zaskoczmy ich, tak że zabraknie im czasu pomyśleć o obronie.